

W kleszczach IPN

6 czerwca 2014

IPN został powołany do życia w 1999 r. Przez 15 lat z publicznej kasy dostał ponad 2 mld zł. Pora na dokonanie bilansu tej instytucji, która już u zarania budziła zdziwienie. Oto bowiem funkcję z założenia archiwalno-badawczą połączono z funkcją prokuratorską. Z tą ostatnią funkcją wiąże się lustracja.

Najpierw fragment z książki Marty Kurkowskiej-Budzan pt. „Antykomunistyczne podziemie zbrojne na Białostocczyźnie: analiza współczesnej symbolizacji przeszłości”: „22 lutego 1947 r. we wsi Łady Borowe pod Łomżą oddział Henryka Gawkowskiego »Roli« wykonał wyrok na kilkusobowej rodzinie Myślińskich, składającej się z kobiet i ich dzieci w wieku od sześciu do osiemnastu lat. (...) Po zabójstwie Myślińskich ich gospodarstwo przejęła rodzina sprawców mordu. Moi rozmówcy twierdzili, że rabunek był w istocie motywacją mordu. (...) W pamięć mieszkańców zapadł obraz przymarzniętych do siebie zwłok dzieci, w tym najmłodszej, kilkuletniej Sabinki. Utrwaliła ją wspominana do dziś fotografia, wykonana przez UB. (...) Zdjęcie to znalazło się w albumie fotograficznym SB, który przechowywany jest przez białostocki Instytut Pamięci Narodowej, ale niestety zostało zeń wyjęte i nie udało się go odnaleźć”.

Musi zastanawiać, dlaczego zginęło akurat to zdjęcie. Podobnie jak niewygodne dla Ryszarda Kuklińskiego dokumenty z jegoteczki osobowej, kiedy czyniono z niego bohatera. W Lublinie teczki z informacjami m.in. o byłym rektorze KUL, ks. prof. Andrzeju Szostku, znanych działaczach „Solidarności”, ZHR i kombatanach zostały wyniesione z IPN. Były tam podania o udostępnienie dokumentów, a także wnioski o nadanie statusu pokrzywdzonego. Na formularzach wnioskodawcy ujawnili swoje szczegółowe dane osobowe, odpowiadali m.in. na pytania o to, czy i kiedy byli przesłuchiwanii przez służby bezpieczeństwa,

czy przeciw nim prowadzono postępowanie karne, czy byli pozbawieni wolności.

Kto odpowiada za te zniknięcia dokumentów, komu nie na rękę było ich istnienie? Czy te dokumenty zawierały fakty przeczące polityce historycznej, którą propaguje Instytut Pamięci Narodowej?

WSZYSTKO PRZEZ... SB

IPN został powołany do życia w 1999 r. Przez 15 lat z publicznej kasy dostał ponad 2 mld zł. Pora na dokonanie bilansu tej instytucji, która już u zarania budziła zdziwienie. Oto bowiem funkcję z założenia archiwalno-badawczą połączono z funkcją prokuratorską.

Z tą ostatnią funkcją wiąże się lustracja. Na początku 2005 r. Bronisław Wildstein, wtedy publicysta „Rzeczpospolitej”, umieścił w internecie indeks katalogowy archiwalnych zasobów akt IPN, zawierający imiona, nazwiska i pewne sygnatury. Miała to być lista współpracowników służb specjalnych PRL. Faktycznie nie było na niej rozróżnienia na rzeczywistych agentów i tych, których służby specjalne umieściły w wykazach bez ich wiedzy. Dla nikogo nie było tajemnicą, że skopiowanie listy i wyniesienie jej poza IPN nie było sprawą prostą i że wątpliwe, by Wildstein mógł tego dokonać bez wiedzy pracowników instytutu. Jednak wyjaśnianie, w jaki sposób z IPN wyciekły tajne rejestry, nic nie dało. Nikt też nie został pociągnięty do odpowiedzialności za skopiowanie danych i ich upublicznienie. Dzika lustracja ruszyła więc na całego i już nikt z jej zwolenników nie zastanawiał się, czy prawo na nią pozwala, czy nie. Jej ofiarą został m.in. kandydujący na stanowisko prezesa IPN sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Przewoźnik. Zasugerowano jego współpracę z SB i zanim się okazało, że zarzuty są bezpodstawne, konkurs na prezesa wygrał Janusz Kurtyka, dyrektor krakowskiego oddziału IPN. (Nawiasem mówiąc, oczywiście przypadkowo w czasie konkursu wyciekł do

„Rzeczpospolitej” z tego oddziału dokument funkcjonariusza SB wskazujący Przewoźnika jako agenta).

Lustratorzy z IPN ochoczo występowali z wnioskami do sądu, zarzucając wielu osobom kłamstwo lustracyjne lub współpracę z PRL-owskimi służbami specjalnymi. Nawet potworne pomyłki, jak chociażby przypadek oplucia w czasie tzw. akcji teczkowej powszechnie szanowanego marszałka Sejmu Wiesława Chrzanowskiego, nie nauczyły lustratorów pokory, nie wywoływały u nich zastanowienia nad bezgranicznym zaufaniem do akt UB i SB, nie skłoniły do większej staranności przy weryfikacji dokumentów wytworzonych przez te służby. Wiele można by podawać przykładów miażdżenia przez sądy w procesach lustracyjnych oskarżeń IPN-owskich prokuratorów, a nawet ich ośmieszania.

Warto tu przywołać przypadek prof. Jana Stanka z Instytutu Fizyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, dziesięć lat temu oskarżonego o współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa przez krakowski oddział IPN kierowany wtedy przez Janusza Kurtykę. Stanek został zawieszony przez władze uniwersyteckie w pełnieniu funkcji kierowniczych, powołano komisję uczelnianą do wyjaśnienia jego i podobnych przypadków. Trzy lata prof. Stanek zmagał się z IPN, odmawiającym mu wglądu do akt. Dopiero znowelizowana ustawa o lustracji wspomogła jego starania w dochodzeniu do prawdy. Kolejny sąd wykazał, że oskarżający prof. Stanka IPN pomylił go z kimś innym. A jak na to zareagowała ta wszechwładna instytucja? Następca Kurtyki, dyrektor oddziału IPN w Krakowie Marek Lasota, nie poczuł się do winy po druzgocącym dla tej instytucji wyroku. Wyrażając ubolewanie, że profesor przez wiele lat żył z piętnem donosiciela, stwierdził, że to вина esbeków, którzy niezbyt rzetelnie prowadzili dokumentację. Słowem IPN nie jest winny, to on jest ofiarą fałszywej działalności służb specjalnych PRL!

Były poseł PO, Jan Kuriata, który przez sześć lat dochodził swojej niewinności, postanowił założyć Stowarzyszenie

Poszkodowanych przez IPN. Mogą do niego wstąpić dwaj koledzy Kuriaty z Platformy Obywatelskiej: senator Marek Konopka i poseł Tomasz Nowak, którzy ponad rok czekali, by dowiedzieć się, że prokuratorzy z IPN nie potwierdzają informacji o współpracy. W przypadku posła PSL Edwarda Wojasa (zginął w katastrofie smoleńskiej) było podobnie. Wiele lat na oczyszczenie przed sądem czekał poseł SLD Eugeniusz Czykwin. Lista uczonych niesłusznie posądzanych też nie jest krótka. Są na niej m.in. prof. Marian Filar czy prof. Jan Miodek. Listę dziennikarzy mogą otwierać Karol Małcużyński i Irena Dziedzic. Mało tego, sąd uwolnił od zarzutu współpracy ze służbami bezpieczeństwa wieloletnią pracownicę IPN, którą instytut oskarżył o kłamstwo lustracyjne.

Wybitny historyk, prof. Karol Modzelewski, za główny grzech IPN uznał włączenie samej instytucji oraz jej pracowników w bieżącą politykę.

„Uwikłanie w politykę niszczy zawodowo historyka”, dodawał. Jako przykład podał wydaną pod auspicjami IPN biografię Lecha Wałęsy pióra Piotra Gontarczyka i Sławomira Cenckiewicza. Na kilkuset stronach autorzy uparcie przekonywali, że przywódca „Solidarności” był na usługach Służby Bezpieczeństwa aż do 1980 r. Tymczasem – co potwierdzały nawet dokumenty zamieszczone w aneksie do książki – wszelkie kontakty Wałęsy z SB urywały się w 1970 r. „Ci dwaj historycy – zauważał Modzelewski – złamali elementarny kanon warsztatowy, który głosi, że w pierwszej kolejności trzeba zwracać uwagę na te informacje źródłowe, które przeczą naszej tezie. Coś trzeba z nimi zrobić”. Pisanie pod z góry przyjętą tezę jest grzechem całego IPN. Książka „SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii” była sztandarową pozycją instytutu za prezesury Janusza Kurtyki. Pomimo ewidentnych błędów i przekłamań została pozytywnie oceniona przez czterech recenzentów z instytutu, choć żaden z nich nie specjalizował się w temacie, a jeden (prof. Andrzej Zybertowicz – obecnie PiS-owski kandydat do Parlamentu Europejskiego) w ogóle nie jest

historykiem.

Innym przykładem swoistego podchodzenia do prawdy jest sprawa rtm. Witolda Pileckiego. Integralną częścią poświęconego Pileckiemu albumu (pod red. Jacka Pawłowicza, notabene kierownika referatu edukacji historycznej Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Warszawie) były dokumenty, z których nie wyciągnięto wniosków, a raczej nie brano ich w ogóle pod uwagę. Gdy prof. Andrzej Romanowski zwrócił na to uwagę, IPN (ustami rzecznika i prawicowych publicystów) zawrzał oburzeniem, po czym opublikował oficjalną polemikę Tomasza Łabuszewskiego, przełożonego Pawłowicza, która... potwierdziła koronną tezę profesora, że rtm. Pilecki nie był torturowany w UB.

KOSZTOWNE ŚLEDZTWA

Prokuratorzy stanowią rozbudowany pion w instytucie. To w nim przez lata były i zapewne wciąż są ciepłe posadki. Jak pisze długoletni naczelnik w centrali IPN, a potem doradca prezesa Kurtyki, Antoni Dudek, „w gronie prokuratorów IPN znalazła się pokaźna grupa takich osób, które przez kilka lat nie mogły się pochwalić wniesieniem bodaj jednego aktu oskarżenia”. A przecież „zarobki prokuratorów są średnio trzy razy wyższe niż pozostałych części IPN”.

Jedno z dwóch sztandarowych śledztw IPN dotyczyło katastrofy lotniczej u wybrzeży Gibraltaru 4 lipca 1943 r., w której zginął gen. Władysław Sikorski. Po wielu latach IPN umorzył to śledztwo, nie stwierdzając zamachu, co było jasne od dziesięcioleci. Nawet Antoni Dudek w swojej książce poświęconej instytutowi napisał: „Mam wątpliwości. Czy rzeczywiście warto było wydać kilkaset tysięcy złotych, by dowiedzieć się, że gen. Sikorski nie zginął od strzału w tył głowy, oraz upewnić się, że to jego zwłoki spoczywają na Wawelu?”. Trudno się nie zgodzić z wątpliwościami Dudka, choć trudno również przypomnieć sobie, by głośno je wyrażał, gdy trwało swoiste szaleństwo wokół śmierci gen. Sikorskiego.

Nie mniejsze możliwości zagranicznych wyjazdów dawało wieloletnie śledztwo w sprawie zamachu na Jana Pawła II. Tylko oczekiwanie na kanonizację wstrzymało ogłoszenie zakończenia śledztwa, które do niczego nie doprowadziło. A miało przecież udowodnić, że za Ali Agcą stała Moskwa, posługująca się bułgarskimi służbami specjalnymi. Dziś w IPN trwa ekwilibrystyka słowna, jak napisać, by uzasadnić potrzebę tego śledztwa, a przy okazji nie ośmieszyć się po raz kolejny. Ciekawostką jest, że oba śledztwa prowadziła katowicka prokuratura IPN, przy czym pierwsze przeniesiono potem do Warszawy.

Obecny prezes IPN Łukasz Kamiński jest kontynuatorem polityki historycznej swojego poprzednika i zagorzałym orędownikiem kolejnego kłamstwa uprawianego przez instytut we wszystkich rodzajach jego działalności.

Owym kłamstwem jest głoszenie tezy, że cała Polska Ludowa to tak naprawdę komunistyczna dyktatura i okres stalinowski niewiele się różnił od następnych dekad. Ten fałszywy ogląd PRL stanowi kwintesencję IPN-owskiej polityki historycznej, za którą stoi nie tylko PiS, ale i PO. Polityki, która ma za zadanie delegitymizację Polski Ludowej. Powojenna historia Polski według Instytutu Pamięci Narodowej nie jest zbyt skomplikowana. Niczym w bajce bohaterowie są jednoznacznie dobrzy i jednoznacznie źli. Dobrzy to m.in. „żołnierze wyklęci”, narodowa część opozycji demokratycznej, i wreszcie płk Kukliński wraz z CIA. Źli to członkowie PZPR, czy jak chce tego IPN – komuniści, a także ci wszyscy, którzy zaraz po wojnie nie poszli do lasu, a teraz twierdzą, że PRL nie była „czarną dziurą”.

„Powojenne podziemie niepodległościowe stanowiło prostą kontynuację działalności niepodległościowej z okresu okupacji niemieckiej. (...) Było też pierwszym odruchem samoobrony społeczeństwa polskiego przeciwko siłom narzuconej przez Sowietów – komunistycznej władzy” – to tylko próbka z bogatego w podobne teksty serwisu IPN poświęconego „żołnierzom

wyklętym”.

„WYKLĘCI” I ZDRAJCY

Z IPN-owskiego oglądu powojennej przeszłości wynika, że liczące kilka tysięcy osób leśne oddziały to całe ówczesne społeczeństwo polskie. Skoro tak, to można wysnuć prosty wniosek: kto nie przyłączył się do „wyklętych”, nie był prawdziwym Polakiem. To dzielenie Polaków jest bardzo niebezpieczne, tym bardziej że IPN bardzo silnie oddziałuje na młode pokolenie. Wystarczy prześledzić wpisy na profilu instytutu w serwisie Facebook. „Wzór honoru i odwagi”, „Stali po jasnej stronie, tam gdzie powinni stać” – fani IPN nie mają wątpliwości, kto miał wówczas rację. A co z drugą stroną? Tutaj też nie ma miejsca na niuanse. „Oko za oko, ząb za ząb. Niestety nie ma już kogo ukarać, esbeckie robactwo już pewnie dawno umarło”, „Obym dożył czasów, w których rozliczymy komunę, ci zbrodniarze raczej poumierają, zanim to nastąpi, ale może ich wnukowie, rządzący obecnie, doczekają procesów, w których naród ich osądzi”.

Publikowane na profilu instytutu informacje skłaniają odwiedzających internautów do głębokich refleksji. „Paskudna persona” – tak o Jacku Kuroniu pisał jeden z użytkowników, ukrywający się za zdjęciem Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”, członka powojennego podziemia, oskarżanego o brutalne mordy na ludności cywilnej. „Pobili się komuchy żydowskie z komuchami chamami. Dobrze, ale co to nas Polaków obchodzi? Szkoda, że się nie powybijali nawzajem, byłoby paru kolaborantów okupantów mniej” – tak wydarzenia z Marca 1968 r. widzi inny fan instytutu.

Jest sprawą oczywistą, że IPN nie może brać odpowiedzialności za wypowiedzi swoich sympatyków. Może jednak moderować to, co się na jego oficjalnym profilu pisze, i usuwać wypowiedzi antysemityczne czy nawołujące do nienawiści. To, że tego nie robi, sugeruje więc, że je akceptuje lub wręcz popiera. Pod koniec ubiegłego roku szef MSZ Radosław Sikorski wydał wojnę

hejterom piszącym obraźliwe komentarze na forach internetowych popularnych serwisów. Najwyższa więc pora, aby zainteresował się także profilem społecznościowym bliskiego mu ideologicznie Instytutu Pamięci Narodowej.

Czy oskarżenie IPN o wspieranie ekstremistycznych haseł nie idzie zbyt daleko? Możliwe. Warto jednak pamiętać, że wielu jego pracowników chętnie i często publikuje w gazetach i czasopismach, na łamach których nietrudno o stwierdzenia podobne do cytowanych powyżej. Modelowym przykładem jest „Gazeta Warszawska”. Tygodnik słynie z tropienia żydowskich spisków w Polsce, co sugerują chociażby tytuły: „Zamordowali i uciekli do Izraela”, „Żydowskie zbrodnie na Polakach z 65 miliardami dolarów w tle” czy „Jak w 1920 roku żydokomuna chciała przejąć władzę w Polsce”. Nie przeszkadza to jednak w tym, aby na łamach „Gazety Warszawskiej” – obok czołowych polityków PiS – głos zabierali historycy IPN, np. dr Leszek Pietrzak czy prof. Krzysztof Szwagrzyk.

Swoje sądy nad najnowszą historią Polski pracownicy instytutu wyrażają także w czołowych pismach prawicy, jak „Gazeta Polska”, „W Sieci” czy „Do Rzeczy”. I nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby nie fakt, że powyższe tytuły dosyć wyraźnie nawołują do obalenia III RP, której wszakże urzędnikami są pracownicy IPN. Tym samym historycy instytutu podkopują państwo, z kasy którego pobierają sowite apanaże. Tymczasem obowiązująca ustawa obliguje urzędników państwowych do strzeżenia „autorytetu Rzeczypospolitej Polskiej i innych przepisów prawa”. Jak widać, nie dotyczy ona urzędników IPN.

Instytut Pamięci Narodowej jako instytucja państwowa powinien być w swoich działaniach apolityczny. Dotyczy to zarówno wypowiedzi pracowników, jak i organizowanych przez instytut seminariów, konferencji czy spotkań. Tymczasem IPN od początku ulokował się po prawej stronie sceny politycznej. Widać to m.in. w obsadzie organizowanych konferencji. Na ostatnią z nich, zatytułowaną „Polska. Majdan. Ukraina”, która odbyła się 3 kwietnia w Zabrzu, organizatorzy zaprosili przedstawicieli

jedynie słusznych mediów i opcji politycznych. W panelu dziennikarskim uczestniczyli Paweł Bobołowicz z marginalnego Radia Wnet, Dawid Wildstein z „Gazety Polskiej Codziennie” oraz Andrzej Grajewski z „Gościa Niedzielnego”, który to tygodnik objął konferencję swoim patronatem. Polityków reprezentowali zaś Małgorzata Gosiewska z PiS i Mirosława Nykiel, dziś z PO, a niegdyś z AWS. Dla przedstawicieli innych opcji zabrakło miejsca.

Tak jednostronny przechył na prawą stronę rzutuje na dorobek badawczy instytutu. Próżno w nim szukać publikacji przedstawiających złożoność powojennej historii Polski. Dobrym przykładem jest realizowany od kilku już lat „projekt naukowy” pt. „Aparat władzy wobec środowisk twórczych, dziennikarskich i naukowych”. Sądząc po lekturze wydawnictw, które powstały w ramach projektu, jedynym jego zadaniem jest wykazanie, że elity kulturalne PRL składały się wyłącznie z donosicieli i karierowiczów.

Tymczasem nawet magister historii doskonale wie, że opieranie się na jednym źródle, tym bardziej tak zwodniczym jak akta służb bezpieczeństwa, jest rażącym błędem i zaniedbaniem. Jednak dla badaczy z IPN nie jest to oczywiste. Sposób ich działania trafnie podsumował dr Grzegorz Nieć z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. W sprawozdaniu z jednej z konferencji naukowych wskazał, że pracownicy instytutu „doskonale obeznani z aktami tajnych służb Polski Ludowej, znający mechanizmy ich działania reprezentowali nieraz bardzo ciekawy i bogaty materiał, jednakowoż wielokrotnie można było odnieść wrażenie, że niechętnie wychodzą oni dalej, nie dostrzegają szerszego kontekstu. Bywa, że wszelka legalna aktywność społeczna, ba, nawet zawodowa, w tamtej rzeczywistości postrzegana jest w tej optyce jako wspieranie i współtworzenie zbrodniczego systemu, co wydaje się grubą przesadą, jest sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem i – przede wszystkim – z indywidualnym doświadczeniem sporej liczby Polaków”.

ZWIĄZEK SOWIECKI?

Awersja IPN do wszystkiego, co nosi znamiona Polski Ludowej, często przybiera karykaturalną formę. Absurdalne – to chyba najłagodniejsze określenie – są wieloletnie starania o wyrugowanie ze słownika języka polskiego przymiotnika „radziecki” i zastąpienie go „sowieckim”. W 2012 r. IPN omal nie pogrążył się w wojnie domowej, kiedy nowy redaktor naczelny biuletynu „Pamięć.pl” zasugerował, aby w tekstach stosować sformułowanie Związek Radziecki zamiast uwielbiany przez prawicę Związek Sowiecki. Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Tropiciel trotylu w prezydenckim samolocie Cezary Gmyz alarmował na łamach „Rzeczpospolitej”, że nakazano używanie „wyłącznie dozwolonej w PRL formy Związek Radziecki”. Nie mniej zasłużony dla prawicy Sławomir Cenckiewicz ostrzegał przed cenzurą w IPN i „dewastowaniem polskiej pamięci historycznej”.

Pomimo 15 lat działalności i wydania grubych milionów na badania dorobek naukowy IPN jest nader skromny. Nie chodzi tu o liczbę publikacji, które instytut wydaje hurtowo, ale o ich poziom merytoryczny. Większość książek nosi podtytuł „W świetle akt bezpieki” czy też „Przyczynek do monografii”. Jeśli już pojawi się jakiś rodzynek, to przeważnie autorstwa badaczy spoza IPN. Najważniejsze publikacje historyczne wydawane są przez uczelnie i Polską Akademię Nauk, które mogą jedynie pomarzyć o budżecie instytutu. Nic więc dziwnego, że z wyjątkiem debaty o Jedwabnem głos pracowników IPN nie był słyszalny i ograniczał się do prawicowych pisemek.

Mimo to w ich publikacjach przebija poczucie moralnej wyższości nad akademickimi historykami i dezawuowanie ich dorobku. Jak trafnie zauważył prof. Andrzej Romanowski, „historycy z IPN zachowują się czasem tak, jakby badanie najnowszej historii Polski zaczęli dopiero oni”. W opasłych tomach odkrywają więc prawdy już dawno odkryte, nierzadko jeszcze w PRL. Zapewne dlatego dołączane bibliografie pomijają starsze wydawnictwa, jako skażone „minionym systemem”.

TUBA PIS

Co roku IPN dodaje kolejne nazwiska do długiej listy osób, którym złamał karierę albo sprawił, że musiały tłumaczyć swoim bliskim, przyjaciom, znajomym czy przełożonym, że nie były współpracownikami tajnych służb. Prof. Miodek pomówiony przez Grzegorza Brauna, reżysera prawicowych agitek, czy red. Tadeusz Szuk tylko otwierają tę długą listę. Historii podobnych do prof. Stanka jest wiele. O głośniejszych z nich informują media, ile jednak jest pomijanych, bo nie dotyczą osób ze świecznika.

Nie dziwi więc, że Instytut Pamięci Narodowej to dla wielu Instytut Pomówień (i) Niegodziwości. A że dochodzi do nich w majestacie prawa, tym gorzej dla prawa. Bo nie dla IPN, który ma się lepiej niż dobrze. Nie tylko pod względem finansowym. To, że stał się on zaprzeczeniem naukowej rzetelności, już dawno przestało dziwić. Nie jest tajemnicą, że IPN został tubą PiS, której nawet przeciwnicy partii Kaczyńskiego nie ruszą, bo zaraz zostaną pomówieni o zdradę, fraternizowanie się z komunistami itp., słowem niebycie prawdziwymi Polakami. I to też jest jedno z kłamstw prawicy, której mocnym zapleczem, a raczej filarem jest Instytut Pamięci Narodowej. Nic więc dziwnego, że pytany o IPN prof. Karol Modzelewski na łamach „Gazety Wyborczej” powiedział: „O tej instytucji najchętniej bym pomilczał”.

Autor: Paweł Dybicz,

Współpraca: Mateusz Lewicki

Źródło: [Głos Rosji](#)

O AUTORZE

Paweł Dybicz – polski publicysta z Warszawy, pierwszy zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Przegląd”.